Jan Herman

Wczorajszy dzień – mowa o Pomniku, a właściwie Steli upamiętniającej Katastrofę – przeszedł do Historii. W obu sensach słowa „historia”: stał się już Dniem Wczorajszym, ale też wpisał się jako dzień Wiecznej Pamięci.
Czy zapamiętamy ten dzień jako okazję do nauki i dobry powód do bycia razem „w obliczu”? Dziś o Katastrofie pamiętać chcemy. O ludzkich małościach, które do niej konsekwentnie prowadziły przez całe lata – aż doprowadziły. O polityce, którą się czasem robi „za wszelką cenę”. O tym, jak wątłe są „pojednania w żałobie”, które już po chwili tryskają nowym hejtem. O tym, że życie publiczne – to pasmo niejasnych knowań i tajemnic, które tym bardziej poddają się zasadzie „morda w kubeł”, im więcej szkody nieplanowanej przyniosły. O pokorze…
Wielu – swoich i obcych – uznało to za „święto” zawłaszczone przez „jedną opcję”. Wielu – obcych i swoich – z Katastrofy wywodzi swoje prawo do łajania „elit” i „innowierców polityczno-ideowych”. Wciąż kanonada, zamiast refleksji. W ciszę się zapadnijmy, choć na chwilę…
Pytam się zatem po raz pierwszy: czy śmierć – tak durna i bezsensowna – nie zasługuje na odrobinę pokornego skupienia tylko dlatego, że umierają ludzie obcy ideowo? Czy śmierć zadana naraz kilkudziesięciu osobom nie zasługuje na rzeczywisty „pokój nad tymi trumnami”? Czy nawet jeśli niektórym – w przenośni – życzyliśmy śmierci, to kiedy się ona ziściła, mamy prawo czuć satysfakcję i czerpać z niej racje polityczne?

* * *

W dniu Katastrofy – jak przez kilka(naście) poprzedzających miesięcy – potoczny-medialny ogląd sytuacji wyglądał mniej-więcej następująco:
1. Polska Solidarna żarła się zapamiętale z Polską Liberalną, przy czym ta Solidarna w rzeczywistości była parafialno-patriotyczno-antyruska, a ta Liberalna w rzeczywistości była etatystyczno-kosmopolityczno-klientelistyczna, obie szowinistyczne, nie dające sobie szans na rzeczowe „za i przeciw”, na wyjaśnienie nagłej wolty na szkodę POPiS;
2. Żywy był podział na tych, którym w smak był koncept IV Rzplitej i „tych pozostałych”, przy czym nikt już nie zastanawiał się nad głębią społeczną tego projektu, harcownicy skupiali się na inwektywach i epitetach oraz na pokazywaniu ran: o tu mnie ugodził. Rodził się etos anty-transformacyjny i „demokratyczna anatema” wobec „politycznie niepoprawnych”;
3. Ówczesny „podopieczny dobrej passy” przygotowywał swój „hołd lechicki” wobec teutońskiej Europy (nikt nie śmiał wtedy tak mówić), któremu dał wyraz zaniedługo, ogłaszając w drugim exposé projekt „polskich inwestycji rozwojowych”, czyli ostatniej (po Mazowieckim i Buzku) daniny-wkupnego na rzecz immatrykulacji do Europy;
4. Jeszcze słychać było skowyt Samoobrony i LPR, które w błyskawicznym tempie zapadały się w czarną dziurę po spektakularnym „sukcesie” rządowym, zakończonym równie spektakularnym upadkiem rządu – ostatniego koalicyjnego: wszelkie późniejsze koalicje miały/mają charakter satelicki, z arbitralno-arogancką rolą nad-suwerena;
5. Zwornikiem kampanii prezydenckiej były odwiedziny w Katyniu: Polska Solidarna tam

właśnie miała dać wyraz akcentom parafialno-patriotyczno-antyruskim, a Polska Liberalna uprzedzająco i z wyrachowaniem deptała te akcenty zamieniając tę wewnątrz-polską rocznicę – w „przytulankę" Tuska z Putinem;
Świat dyplomacji pewnie do dziś omawia na szkoleniach przypadek, kiedy na oczach Europy i Rosji „polaczkowie" wyrywali sobie prawo do „mszy za ofiary katyńskie", co skutkowało kuriozalnym rozwiązaniem: Polska Liberalna była w pełni wartościowym gościem Rosji, a Polska Solidarna z przekąsem zastanawiała się, czy na swoją wizytę w Katyniu – urzędujący Prezydent dostanie rosyjską wizę.
To zresztą nie była nowość: piaskownicowe boje o to, kto z Polski ma prawo do „krzesła" w dyplomacji wyjazdowej, czyj diabeł ustrojowy starszy w oczach zagranicy – stały się powodem do ledwo skrywanych uśmieszków na światowych salonach.

* * *

Wszystko to stało się nieważne – i zarazem, paradoksalnie, najważniejsze – kiedy Prezydent niemałego państwa członkowskiego w UE, wraz z kilkudziesięcioma przedstawicielami elit politycznych i państwowych – źle wylądował, prowadzony przez gospodarzy ku ziemi niczym podrzędny urzędniczyna z bananowej republiki. Tak nie traktuje się żadnego Prezydenta.
Na gorąco (po nocnym wyścigu oficjeli do Miejsca Zdarzenia) opublikowałem wtedy notkę, która wciąż jest aktualna. Zadałem w niej trzy krótkie pytania (patrz: https://publications.webnode.com/news/to%20nie%20musi%20być%20prawda/):

- Jakiego rodzaju sztamę ma Putin z Tuskiem?
- Czy w Polsce już mamy neo-totalitaryzm, czy jeszcze za chwilę?
- Jak długo ONI powstrzymają się przed obwinieniem śp. Lecha K. o katastrofę?

Te pytania okrasiłem własnym komentarzem. Oto trzy akapity.
W prawie pierwszego pytania napisałem: Donald Tusk, człowiek niewątpliwie rozdający karty w Polsce, mimo nieciekawych stosunków polsko-rosyjskich, zdołał spotkać się z Putinem, człowiekiem niewątpliwie rozdającym karty w Rosji, w miejscu, które jeszcze dziś bardziej dzieli niż łączy racje obu państw. Skoro dla Rosji Polska jest takim samym „koralikiem" jak Ukraina, Iran, Turcja, Azja Środkowa, Kaukaz – co poważnego się stało, że Putin aż tyle uwagi oddał świętym sprawom Polski, do tego „wypinkował" Prezydenta (śp.) z tej uroczystości? Jak naiwne dziecko zadam teraz pytanie: czy możliwe, że Rosjanin powiedział Kaszubowi w smoleńskim lesie, „wrócimy do naszego planu, kiedy będziesz miał swojego prezydenta pod kontrolą, tak jak ja u siebie"? I cóż to za plan ważny, skoro obaj spotykają się w tym samym lesie po dwóch dniach, kiedy tylko warunek się spełnia po strasznej tragedii? Naiwność tych pytań wynika z mojego przekonania, zapewne durnego, że nawet najbardziej nadzwyczajne wydarzenie nie jest przez mocarstwa rozpatrywane w kategoriach duchowych, tylko jako „nowe pole do nowych wyzwań".
W sprawie drugiego pytania napisałem: Donald Tusk, niewątpliwie deklarujący się od lat jako liberał, świadomie i ze zrozumieniem tego co mówi, w praktyce jest konsekwentnym sobiepanem w nawie partyjnej i państwowej. W nawie państwowej umożliwiają mu to prerogatywy premiera, z których korzysta on całkiem chętnie. W nawie partyjnej sam do tego doszedł, rugując z najbliższego otoczenia każdego, kto wyrósł ponad miarę, łącznie ze współzałożycielami Platformy. Osoby, którymi Premier „wymiatał" sobie przestrzeń polityczną można liczyć na dziesiątki, z grona „starych" (jeszcze KLD czy UD) i które ostały się blisko Tuska można niemal policzyć na palcach jednej ręki. Zawsze są to osoby bezwarunkowo

uznające prymat „kolegi Donalda”, choć niektóre z nich były lub mogły być jego nauczycielami. Przestrzeń społeczno-gospodarczą tak rządzoną – PO wyraźnie i jednoznacznie podzieliła na dwie nierówne części: wydzieloną część ustawianą w roli esencji tego, co nazywamy Gospodarką i Społeczeństwem oraz część pozostałą, sprowadzoną do funkcji „przetrwaj albo scześnij”.
W sprawie trzeciego pytania napisałem: Prezydent Kaczyński (śp.) był ostatnim, który mógł w Polsce w widomy sposób strzec wartości IV RP, rozumianej niekoniecznie jako ukompleksiona fanaberia ustrojowa Bliźniaków, tylko jako sprzeciw wobec transformacyjnego spisku tej części solidarnościowego etosu, która była spolegliwa wobec PRL (Magdalenka) i wobec światowej kamaryli (Balcerowicz). Postępowanie Jarosława Kaczyńskiego, niewątpliwie bardziej niepohamowanego i bardziej stanowczego z Braci, skłonnego do zachowań „na pograniczu” i takich dobierającego sobie ludzi, ułatwiało „transformacyjnym” postponowanie Prezydenta, który wszak miał tę właściwość, że był nie tylko Lechem Kaczyńskim (osobą, bratem) ale też był Prezydentem (głową Państwa). Pośród wielkiego smutku, coraz mniej spontanicznego, coraz bardziej ceremonialnego (a przecież minęła doba zaledwie!), coraz częściej słychać pobrzmienia, jakoby Prezydent miał jakiś (spory) udział w katastrofie, nakazując coś pilotom wbrew procedurom (robił to już w przeszłości). Jeśli Putin dostarczy „czarno skrzynkowych” dowodów – sprawa stanie się „jasna”, a Lech zostanie zdjęty z piedestału. Głupio będzie się nań powoływać w polityce.
Otóż trzy zacytowane wyżej akapity są dziś – poniewczasie – szyderstwem z sytuacji, w której Donald Tusk jest przez mediastów wskazywany jako polityk cieszący się największym zaufaniem i jako główny gracz o prezydenturę w Polsce. Ten sam Donald Tusk, który „po trupie” Lecha Kaczyńskiego rozegrał prezydenturę na rzecz osobnika żenującego w swojej roli, osobnika ostatecznie do tego stopnia nie rozumiejącego swojej żenady, iż nie miał dokąd wrócić przegrawszy wybory o reelekcję (wynajął komuś swoje mieszkanie na dwie kadencje). Ten sam Donald Tusk, który arogancko i butnie zignorował potrzebę zawarcia nowej umowy koalicyjnej (z PSL) na nową kadencję Sejmu, a kiedy koalicjant zmienił swego lidera – czynnie pozwolił staremu liderowi szarpać nowego. Ten sam Donald Tusk, który niedouczonemu narcyzowi dał z rozmysłem do ręki kluczowy projekt swojej drugiej kadencji (PIR SA), a potem doświadczył, że ten cymbał to nie tylko narcyz, ale też „fachowiec inaczej”. Ten sam Donald Tusk, który niczym bananowy kacyk zabrał pod rękę wicepremierkę w połowie kadencji i zrejterował z funkcji Premiera dla „saksów” na posadzie w UE. Ten sam, który nie poczuwa się do „ojcostwa” wobec polityków, którzy u Sowy i w podobnych miejscach dawali wyraz swojej pogardzie dla Kraju, Państwa i Obywateli. Ten sam Donald Tusk, którego zaufana wieloletnia zastępczyni okazała się patronką warszawskich złodziei i watażków reprywatyzacyjnych. Teraz Donek wraca i „należy mu się” dobra posada, nieprawdaż…?
Trzy akapity z mojej notki AD 2010 stawiają pod znakiem zapytania takie oto trzy zagadnienia:
1. Czy przewrażliwienie Kaczyńskich na tle służalczości Polski Liberalnej wobec globalnych mocarzy jest nieuzasadnione…;
2. Czy sława J. Kaczyńskiego jako jedynego satrapy-dyktatora III Rzeczpospolitej nie jest aby przerysowana…;
3. Czy ofiary Katastrofy – nawet jeśli niektóre maczały palce w zaniedbaniach – powinny być karmą dla gier politycznych…;
Uważam – napisałem to wczoraj w notce „Się należy, i wypada. Po prostu” (patrz: https://publications.webnode.com/news/sie-nalezy-i-wypada-po-prostu/) – że Polska, my wszyscy, mamy przed sobą wielkie wyzwanie: wziąć naukę z Katastrofy, która nas niechlubnie

wpisała w Historię, opowiedzieć sobie szczerze o tym, co się stało, i – bez egzaltowanych zadęć – przystąpić do budowy nowej Polski, bez rujnowania starej (kawałkami), za to z biglem obywatelskim. By „luzik" połączony z „rwactwem" – oba zgubne dla Ojczyzny – nie stoczył nas w objęcia tego czy owego mocarza, w roli przekąski.
A przede wszystkim – nawet za cenę nadwypukłości jednych postaci i przezroczystości innych – potraktować 96 dusz jako memento-przestrogę, nie zaś jako powód do dźgania jeden-drugiego.
Pomniki-Stelle-Monumenty – to narzędzia społecznej Pamięci. Źle się dzieje, jeśli niektóre „zdejmuje" się za ich „grzech nieprawomyślności". Bo wtedy trudno bronić tych nowych-własnych przed podobnym potraktowaniem.
Odsłonięta wczoraj bryła – niech trwa. Przecież – do ciężkiej feli – nie da się jej odczytywać wyłącznie jako przejaw chorej ambicji politycznej…?

Jan Herman